Usłyszeliśmy już o Ali – koleżance, Ali – podwładnej, Ali – nauczycielce, Ali – mentorce. A ja chciałabym opowiedzieć, jaka była prywatnie. To na pewno nie będzie dobra mowa, bo nie jestem tak błyskotliwa, dowcipna i finezyjna jak Ala. To Ona była mistrzynią słowa, dlatego nieraz żartowałyśmy (już dawno, dawno temu), że jeśli chce mieć właściwą mowę pogrzebową, to sama powinna ją sobie napisać. Nie zrobiła tego, tak jak nie zdążyła zrobić wielu innych rzeczy, które zaplanowała. Przecież żyła raptem 61 lat.

Kim była? Wychowywała się w rodzinie, która zaszczepiła w Niej ogromny patriotyzm. Z dumą opowiadała o dziadku – Piłsudczyku, babci – więźniarce obozu koncentracyjnego i tacie – powstańcu warszawskim. W Jej rodzinnym domu było dużo książek, które pochłaniała, zatem wybór polonistyki jako kierunku studiów wydawał się całkowicie naturalny. Nie planowała, wręcz nie chciała zostać nauczycielką (marzyło się Jej dziennikarstwo), ale przypadkiem trafiła do szkoły na jakieś zastępstwo czy staż i połknęła bakcyla. Dziennikarsko realizowała się, pisząc felietony do miesięcznika „Nowa Szkoła". Przez ok. 25 lat miała tam swoją stałą rubrykę „Pokój nauczycielski". Inspiracją do zamieszczanych tam tekstów często byli Jej uczniowie, no i nasze władze oświatowe…

Pierwszym miejscem pracy Ali było liceum im. Joachima Lelewela; zawsze mówiła o nim „ale to ten stary Lelewel". Została stamtąd zwolniona z przyczyn politycznych – to były okolice stanu wojennego. Ponieważ dostała „wilczy bilet", nie mogła zatrudnić się w żadnej innej szkole. Zatem przez dwa lata była kinooperatorem pierwszego stopnia w „Ochocie", jednocześnie ucząc się tego zawodu w Zespole Szkół Fototechnicznych. Później udało Jej się otrzymać etat polonisty w liceum w Wyszkowie (kuratorium w Ostrołęce nie dopatrzyło się Jej "złego pochodzenia"). Stamtąd na 32 lata przyszła do Czackiego.

Jaka Ala była? Przywiązywała się do ludzi. Utrzymywała kontakty – może niezbyt intensywne, ale jednak – z koleżankami i kolegami ze swojej klasy z Reytana (wiem, że dziś są tu obecni), ze swoimi uczniami, także z tymi – niech mi wybaczą – już dość zaawansowanymi wiekiem. Lubiła wiedzieć, co się u nich wszystkich dzieje. Była bardzo lojalna wobec przyjaciół, życzliwa, pomocna, wspierająca. Jej przyjaciele stawali się Jej rodziną. Na studiach poznała Jolę i to Jola stała się Jej Śister – właśnie tak, z przekorą, zawsze o sobie mówiły. Razem uczyły się do egzaminów (gdy nie chciało im się czytać wszystkich wymaganych lektur na tzw. HELP czyli historię literatury polskiej, przygotowywały się na podstawie podręcznika licealnego). Jeśli miały pieniądze, chodziły (czasem – zamiast na zajęcia) na paszteciki do Hotelu Europejskiego. No i razem realizowały wielką pasję ich obu – przemierzały górskie szlaki, przede wszystkim w Tatrach i Beskidach. Podobno raz Ala uznała, że na Kondratową koniecznie trzeba zabrać Luja, więc tachały w plecaku magnetofon, żeby posłuchać tam Armstronga. Gdy Jola spotkała swojego przyszłego męża, Zenio (Ala zawsze tak Go nazywała, zresztą, bardzo lubiła zdrabniać wszystkim imiona) natychmiast stał się członkiem Jej rodziny, a kiedy Jola urodziła dzieci, Zuzia i Michał stali się Jej ukochanymi siostrzeńcami. Prosili, żebym coś od nich przeczytała:

„Kochana Alicjo, Ciociu, My Sister, byłaś, jesteś i będziesz z nami na zawsze, w naszych wspomnieniach z Orlej Perci, Szopenówki, Hali Kondratowej, Kasinki Małej i Mszany Dolnej, w naszych zachwytach nad końcami pasa słuckiego , w naszych pieskach, w podróży do Nowej Zelandii, w staroświeckich listach, pocztówkach i spacerach po Kazimierzu, w troskach i radościach…

Nie żegnamy Cię, bo mimo wszystkich zmian jesteś zawsze przy nas, a my jesteśmy przy Tobie”.

Również moja rodzina była rodziną Ali. Brała udział w niemal wszystkich (dodam – licznych, bo jest nas dużo) imprezach rodzinnych – imieninach,

urodzinach, ślubach, chrzcinach, komuniach, rocznicach, a nawet mszach w intencji (żartowała, że jest „niewierząca, ale praktykująca”) itd. I teraz moja mama chciałaby coś o Ali i do Ali powiedzieć:

„Nasze spotkania rodzinne były zawsze radosne, gdy była Ala. Upominki – ofiarowane zawsze z serdecznym komentarzem, przemyślane, niezwykłe, wysmakowane i z przesłaniem. Ja, bardzo już duża osoba, cieszyłam się na nie jak dziecko.

Ala pokazała nam chyba wszystkie ulubione i ciekawe miejsca Lubelszczyzny. I nie tylko Lubelszczyzny. Bo miała wrażliwe ucho i bardzo czułe serce. Wystarczyło małe napomknienie, a już marzenia się spełniały i plany realizowały. Dziękujemy Ci, Aluniu, za pielgrzymkę do Kodnia, na Jasną Górę i za ostatni objazd po naszym Mazowszu.

Byłaś, Aluniu, cała nie tylko dla nas – mamusi i tatusia (Ala zawsze tak zwracała się do moich rodziców), ale też dla naszej całej rodziny, tej bliskiej i dalszej, tej z Warszawy i Kujaw. Kochałaś bardzo pluszowe misie i gliniane kogutki, ale też żywe zwierzęta. Nawet wciągnęłyście nas z Bogusią na listę sponsorów Warszawskiego ZOO, z czego jesteśmy dumni.

Nie wszystko zostało powiedziane, ale za wszystko dziękujemy. Byłaś dobrym Człowiekiem”.

Ponieważ mieszkała blisko moich rodziców, często ich odwiedzała. Mówiła do nich „mamusiu” i „tatusiu”. Gdy w lutym poszła do nich po raz ostatni (potem nie miała już sił wejść po schodach na pierwsze piętro), wzięła ze sobą kilka arkuszy SUDOKU, które uwielbiała. Powiedziała mi, że przed śmiercią chce nauczyć moja mamę rozwiązywania tej łamigłówki. Cóż – albo uczennica okazała się tępa, albo nauczycielka kiepska – coś tam razem zrobiły, ale miłości do poszukiwania cyferek Ala w mojej mamie nie zaszczepiła.

Ala była ogromnie otwarta na innych, była tolerancyjna (choć nie wobec głupoty – tu potrafiła być złośliwa. A ponieważ bardzo dbała o czystość języka, denerwowało ją niechlujstwo dziennikarzy i polityków, wypowiadających się publicznie – zawsze głośno poprawiała ich błędy).

Była niezwykle punktualna (zawsze powtarzała, że to zasługa Jej taty) – jeśli już zdarzało się Jej gdzieś spóźnić, to zawczasu dzwoniła z przeprosinami, nawet gdy to było tylko kilka minut. Była bardzo dokładna, skrupulatna, zorganizowana. Ciągle robiła listy zadań, które potem chętnie skreślała. Niektóre były dość kuriozalne. Widziałam np. taką: sobota – 1) album dla mamy, 2) ciuchy na niedzielę do perfekcji – w nawiasie – Państwo wybaczą – łącznie z kolorem majtek, 3) odtwarzacz z pawlacza, strzałka: podłączam, od tego druga strzałka: przeklinam.

Miała duże poczucie humoru. Jednocześnie była ogromną pesymistką (choć wolała mówić o sobie, że jest realistką). Lubiła inteligentne żarty – bawił ją komizm sytuacyjny lub dowcipna gra słów. Nie znosiła współczesnych kabaretów. Kochała „Starszych Panów".

Bardzo dużo czytała. Gdy już zdecydowała się całkowicie zrezygnować z pracy, najbardziej dziwiły Ją pytania: „no i co Ty będziesz robić na tej emeryturze?". Bo przecież jest tyle książek do przeczytania… Najbardziej na świecie kochała Norwida. Uważała go za najwybitniejszego poetę, lubiła cytować, twierdząc, że na każdą okazję znajdzie się u niego jakąś niezwykle mądrą, przenikliwą myśl. Miała słynne 11-tomowe wydanie Gomulickiego, które teraz trafiło w ręce Izy, kolejnej polonistki w rodzinie.Lubiła też Bursę, Witkacego, Herberta (ubolewała, że Herbert nie dostał Nobla – uważała, że zasłużył na niego jak żaden inny polski autor). Lubiła czytać reportaże, biografie, opowieści o ludziach, żyjących w innych kulturach, ale bardzo też lubiła kryminały – te starała się w całości przeczytać w jeden dzień. Szczególnie ceniła

skandynawskie i historie Mroza z Chyłką. Miała też ogromną słabość do detektywa Monka, zarówno jako bohatera powieści, jak i serialu.

Lubiła też muzykę. Gust miała bardzo eklektyczny. Szczególnie ceniła tradycyjny jazz (zwłaszcza wspomnianego Luja i Elkę, czyli Ellę Fitzgerald), ale lubiła też np. orkiestry dęte; kochała saksofon i fletnię Pana. Chętnie słuchała Edyty Geppert i Michała Bajora, bo w duszy była romantyczką. Uwielbiała Młynarskiego, Kaczmarskiego i Andrusa, bo mądrzy i jednocześnie dowcipni. Z każdej zagranicznej podróży przywoziła płyty. Ostatniej nie zdążyła już posłuchać, dlatego teraz dla Ciebie, Alu, sycylijska tarantela.

Ala lubiła poznawać świat. Przez książki, przez muzykę, ale i przez bezpośrednie jego dotknięcie. Jej ukochanym miejscem na ziemi był Kazimierz Dolny nad Wisłą, w którym spędzała ferie, wakacje, wiele weekendów. Korzystając z emerytury, miała tu przyjeżdżać jeszcze częściej i na jeszcze dłużej. Kilka razy się udało… W Kazimierzu miała ukochanych, niezwykle życzliwych gospodarzy (którzy też tu dzisiaj Ją żegnają), przyszywaną Babcię Zosię, swojego dentystę, swoją fryzjerkę i mnóstwo znajomych. Lubiła tu chodzić do wąwozów, na pola, do lasu, nad Wisłę, na Rynek, uczestniczyć w słynnym Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych oraz popularnym Festiwalu Filmowym, ale też bardzo lubiła po prostu siedzieć w altance w ogrodzie państwa Rejmaków i, oczywiście, czytać…

Co roku w wakacje jeździłyśmy też gdzieś daleko, bo taka była Jej filozofia: „póki są siły i możliwości, trzeba ruszać jak najdalej. Do Włoch to nawet na wózku inwalidzkim pojadę”. Przewrotny los sprawił, że nasza ostatnia wspólna wycieczka, zresztą, po raz pierwszy zimą, była właśnie do Włoch…

Zobaczyłyśmy razem naprawdę wielki kawał świata, ale podróżą życia nazwała nasz ostatni wakacyjny wyjazd na Antypody. Po raz drugi w dość długiej historii naszych wspólnych wojaży to Ala tak zdecydowanie wybrała kierunek. I chodziło nie tylko o to, że dalej się nie da (Antarktyda nigdy Jej nie fascynowała), ale też o to, że po zwiedzeniu Australii będzie Nowa Zelandia, w której mieszka Jej przyszywany siostrzeniec Michał. To dość szalone – jechać na drugi koniec świata, by spędzić jeden dzień z młodym człowiekiem, który i tak niebawem miał przyjechać do Polski.

Ale właśnie takie szalone rzeczy lubiła robić. Jeździła (czy pływała) skuterem wodnym po Morzu Karaibskim, latała motolotnią nad Kazimierzem i Janowcem. Z okazji 60 urodzin skoczyła ze spadochronem i latała w tunelu aerodynamicznym. Marzyła o skoku na bangee, ale lekarz stanowczo zabronił – przy Jej wysokim ciśnieniu byłoby to dla Niej niebezpieczne. W najbliższych planach (może na kolejne urodziny, które obchodziłaby 4 dni temu) miała mały tatuaż – wzór już wybrała, tylko ciągle nie mogła podjąć decyzji co do miejsca. No cóż, ponoć „wszyscy rodzą się szaleni. Niektórzy już tacy pozostają", twierdził Beckett. Ala pozostała.

Miała słabość do promocji. Takich „kup 3, zapłać za 2". I kupowała, zwykle za dużo, powtarzając „moja ulubiona liczba to mnóstwo". Lubiła zakupy w second handach, zwłaszcza z opcją „wszystko za 1 złoty". Potem zawsze, gdy ktoś chwalił jakiś Jej ciuch, z satysfakcją podkreślała „dobrze wydana złotówka". Daję słowo, że gdy kupowałam Jej koszulkę do trumny, słyszałam, jak do mnie mówi: „Zwariowałaś? Przecież za te pieniądze w ciucharni kupiłabym 55 koszulek".

Lubiła też gratisowe reklamowe gadżety, zwłaszcza odblaski i płócienne torby. Kiedyś, na pewnej imprezie warszawskiej (zorganizowanej bodaj przez wodociągi), zobaczyła, że dużo osób chodzi z ładnymi torbami. Zapytała, co

trzeba zrobić, żeby taką otrzymać i usłyszała, że musi pokolorować obrazek. Oczywiście, siadła między dziećmi, zrobiła to i podpisała umieszczoną później na specjalnej wystawie kolorowankę „Ala, 58 lat”.

Uwielbiała prowadzić samochód. Jeździła brawurowo, ale pewnie. To Ona namówiła mnie na zrobienie prawa jazdy (co stało się raptem trochę ponad 5 lat temu) i Ona nauczyła mnie jeździć (dlatego ja też nie potrafię cofać przez lewe ramię). Choć sama jeździła z reguły za szybko, mnie pilnowała, każąc prowadzić auto wolno i tylko prawym pasem, powtarzając „lewa dla lewaków”. Zalecała wyjątkową ostrożność i straszyła znanym powiedzeniem, „cmentarze są pełne tych, którzy mieli pierwszeństwo przejazdu”.

Lubiła nie tylko samą jazdę, ale i swoje samochody. Nie pamiętam, czy Jej pierwszy maluch miał jakieś imię, ale wszystkie polonezy to były Poldki, na volkswagena mówiła Walduś, a Jej ostatni samochód ford mondeo nazywał się Munduś.

Kochała zwierzęta. I swoje, i obce. Pierwszy pies trafił do Niej przez przypadek – to był prezent na pożegnanie od uczniów z Wyszkowa. Suczka wymyślonej przez Nią rasy owczarek gorczański (a naprawdę kundel po jamniku) nosiła imię Buła na cześć dyrektora wyszkowskiego liceum, pana Józefa Bułatowicza, którego tak wszyscy w skrócie nazywali. Po Bule była Fela, prawdziwy jamnik, wzięty interwencyjnie od rodziny, dla której był to nietrafiony prezent świąteczny. Po Feli nastała ostania już Ruda – czarny kundel po jamniku (choć trochę się wybarwia na brązowo, więc Ala mówiła, że jest „chińską podróbą”), nazwana tak na cześć Rudy Śląskiej, do której Ala pojechała po pieska do schroniska. Z inicjatywy Doroty, koleżanki z Czackiego, dziś – przy okazji tego pogrzebu – do puszki zbieramy na to właśnie schronisko.

Ala bardzo lubiła gotować. Z upodobaniem zbierała przepisy, które były dla Niej jedynie inspiracją. Mówiła: „wiesz, zrobię tę fajną zupę, tylko zamiast

cukinii dam pomidory, a zamiast pieczarek - kurczaka”. Swoim autorskim kompozycjom kulinarnym dawała też własne nazwy. Niestety, dziś nie pamiętam, co wtedy jadłam, ale nazywało się to „bimboletki w sosie frutikowym”. No i była absolutną mistrzynią bigosu, który gotowała przez tydzień, dodając do kapusty wagowo tyle samo lub więcej różnych mięs, a ponadto mnóstwo suszonych grzybów, wędzone śliwki, czerwone wino i obowiązkowo kieliszek wiśniówki.

Przy jedzeniu nie grymasiła. Jadała w zasadzie wszystko, ale Jej ulubieńcami na pewno były flaki, placki ziemniaczane na ostro, salceson ozorkowy, pizza 4 sery, zupa Pho i kebab w lavashu. Ze słodyczy „głównie śledzie”, choć robiła wyjątek dla słynnych pączków z Górczewskiej oraz domowych ciast mojej Mamy i pań Rejmak z Kazimierza.

Nie uprawiała żadnego sportu. Kiedyś lekarz stwierdził, że powinna codziennie robić przynajmniej 10 – kilometrowy spacer lub coś w zastępstwie. Oczywiście, wybrała zastępstwo. Kupiony wówczas steper szybko stał się miejscem składowania książek, a stacjonarny rower okazał się wygodnym wieszakiem… Ale lubiła sport w telewizji. Zawsze kibicowała naszym piłkarzom, oglądając wszystkie mecze reprezentacji, oraz skoczkom narciarskim – też starała się nie opuścić żadnych zawodów. W najbliższym sezonie zimowym planowała wreszcie wybrać się do Wisły lub Zakopanego; miała stać na śniegu i głośno dopingować naszych chłopaków. Chociaż zimy nie znosiła – bo trzeba skrobać szyby w samochodzie, a psu marzną łapy. Jej ulubiona porą roku była wiosna, bo tak dużo dzieję się w przyrodzie. W lecie lubiła to, że są wakacje, długie dni, czereśnie i burze; upałów nie znosiła. Kochała też jesień, bo mogła zbierać grzyby i kasztany, które z upodobaniem nosiła potem w kieszeniach swoich kurtek.. Wszystkie pory roku i wszystkie miejsca z upodobaniem fotografowała.

Była bardzo konserwatywna. Była chyba ostatnią znaną mi osobą, która zdecydowała się na telefon komórkowy, pocztę mejlową i aparat cyfrowy. Nigdy nie miała karty do bankomatu ani internetu. Tu, pozwólcie Państwo, przytoczę Jej ulubioną anegdotę. Gdy wprowadzono w Szkole dziennik elektroniczny, Ala uprzedziła uczniów, żeby nie spodziewali się od Niej szybkich odpowiedzi na wysyłane wiadomości, bo nie ma w domu internetu. Po chwili pełnej niedowierzania ciszy jedna uczennica zapytała z trwogą: „Ale prąd Pani ma?".

Miała swoich ulubionych chrześcijańskich świętych: walczącego ze smokiem Jerzego, którego wizerunki zbierała, św. Franciszka – „bo gadał ze zwierzętami", św. Brata Alberta – „bo patriota i artysta", św. Jana XXIII – „bo palił papierosy". Ale miała też upodobanie do Ganeszy, boga z głową słonia z religii hinduistycznej. Przedstawiające go figurki też zbierała.

A skoro już o zbiorach mowa, to muszę, oczywiście, powiedzieć o misiach. Całe Jej mieszkanie było „zamisione". Tiszerty, kamizelki, skarpety, torby i plecaki, krawaty, złota i srebrna biżuteria, lampa, świeczki, bombki na choinkę, zegary, skarbonki, mydelniczka, ręczniki, parasole, talerze, solniczka i pieprzniczka – to wszystko albo miało kształt misia, albo było ozdobione jego wizerunkiem. I, rzecz jasna, mnóstwo pluszowych misiów, które teraz cieszą dzieci, podopiecznych różnych fundacji.

Druga duża kolekcja Ali to gliniane kogutki. Kupowała je wszędzie, także w dalekim świecie – zresztą, nie zawsze były to ptaszki, czasem inne stworzenia. Ten zbiór jest tutaj. Proszę, weźcie sobie na pamiątkę po fiukanym kogutku lub dwa; niech będą prezentem – wspomnieniem po Ali.

Mówię o zbieractwie, więc dodam, że Ala była – choć pewnie nie wydawała się – bardzo sentymentalna. Przechowywała chyba wszystkie dowody pamięci i uznania od swoich uczniów i nie tylko od nich. Na półkach

miała ulepione z gliny przyznane Jej przez samorząd wyróżnienia, m.in. „dla złotoustej” i „dla najbardziej kontrowersyjnej nauczycielki”, książki z pięknymi dedykacjami, nierzadko napisane przez Jej uczniów, namalowany przez Julię obraz „Ocalona”. W szufladach trzymała liściki z podziękowaniami czy życzeniami. To wszystko było dla Niej ważne, bo – choć na pozór było inaczej – była niepewna siebie, nieśmiała, z kompleksami. Wiem, dobrze to ukrywała. Byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby moła przeczytać te wszystkie wypowiedzi, które znalazły się na stronie Czackiego po Jej śmierci. I gdyby mogła wysłuchać specjalnie dla Niej nagranej piosenki – tej, którą za chwilę usłyszymy jeszcze raz.

Starożytni mówili „de mortuis aut bene, aut nihil”, ale, żeby moja opowieść była pełna, muszę to powiedzieć: Ala była bardzo dobrym człowiekiem, ale charakter miała trudny. Bywała wybuchowa, apodyktyczna, bezkompromisowa. I potwornie uparta. Jak coś postanowiła, to bardzo rzadko z tego rezygnowała. Skrajnym przykładem jest „łąka Suszkiewicza”. Otóż, kiedyś w ferie zimowe jeździłyśmy po Mazurach. Zgodnie z mapą skręciłyśmy w jakąś drogę nad kolejne jezioro i zaryłyśmy się w śniegu. Ala, oczywiście, miała saperkę w bagażniku, ale to nie wystarczało. Więc na przemian – to kopała, to siadała za kierownicą, włączała silnik i buksowała kołami w śniegu. Trwało to kilka godzin. Odpuściła dopiero wtedy, gdy zapadł zmrok. Musiałyśmy pójść do najbliższej wsi i poszukać kogoś trzeźwego z traktorem (nie było łatwo, bo to były Ostatki). Nasz wybawca powiedział nam, że utknęłyśmy na wiecznie podmokłej łące niejakiego Suszkiewicza. Potem, gdy Ala przy czymś niezbyt mądrze się upierała, wystarczało powiedzieć „Suszkiewicz” i wtedy czasem odpuszczała. Ale rzadko.

Rozgadałam się. Co prawda Epikur twierdził, że „taki sam jest pożytek z mowy krótkiej jak z długiej”, ale w tym przypadku się mylił. Uważam, że o tak

niezwykle barwnej, nietuzinkowej, wyjątkowej osobie nie można było powiedzieć krótko, a przecież i tak bardzo dużo pominęłam.. Pozwólcie jednak jeszcze, drodzy Państwo, bym na koniec zacytowała pewien wiersz, który Ali bardzo się podobał:

„Szukam świata
w którym jedna jaskółka
czyni wiosnę
gdzie szewc
chodzi w butach
gdzie jak cię widzą
to dzień dobry
szukam świata
w którym
człowiek człowiekowi
człowiekiem”

Mam nadzieję, Alu, że znalazłaś już taki świat.
Dziękuję Ci za wszystko.